

Czesław Miłosz - W mojej ojczyźnie

W mojej ojczyźnie, do której nie wrócę,
Jest takie leśne jezioro ogromne,
Chmury szerokie, rozdarte, cudowne
Pamiętam, kiedy wzrok za siebie rzućę.

I płytkich wód szept w jakimś mroku ciemnym,
I dno, na którym są trawy cierniste,
Mew czarnych krzyk, zachodów zimnych czerwień,
Cyranek świsty w górze porywiste.

Śpi w niebie moim to jezioro cierni.
Pochylam się i widzę tam na dnie
Blask mego życia. I to, co straszy mnie,
Jest tam, nim śmierć mój kształt na wieki spełni

Warszawa, 1937

Czesław Miłosz - Który skrzywdziłeś

Który skrzywdziłeś człowieka prostego
Śmiechem nad krzywdą jego wybuchając,
Gromadę błaznów koło siebie mając
Na pomieszanie dobrego i złego,
Choćby przed tobą wszyscy się kłoniłi
Cnotę i mądrość tobie przypisując,
Złote medale na twoją cześć kując,
Radzi że jeszcze dzień jeden przeżyli,

Nie bądź bezpieczny. Poeta pamięta.
Możesz go zabić – narodzi się nowy.
Spisane będą czyny i rozmowy.

Lepszy dla ciebie byłby świt zimowy
I sznur i gałąź pod ciężarem zgięta.

Washington D.C., 1950

CAMPO DEI FIORI

W Rzymie na Campo dei Fiori
Kosze oliwek i cytryn,
Bruk opryskany winem
I odłamkami kwiatów.
Różowe owoce morza
Sypią na stoły przekupnie,
Naręcza ciemnych winogron
Padają na puch brzoskwini.

Tu na tym właśnie placu
Spalono Giordana Bruna,
Kat płomień stosu zażegnał
W kole ciekawej gawiedzi.
A ledwo płomień przygasnął,
Znów pełne były tawerny,
Kosze oliwek i cytryn
Nieśli przekupnie na głowach.

Wspomniałem Campo dei Fiori
W Warszawie przy karuzeli,
W pogodny wieczór wiosenny,
Przy dźwiękach skocznej muzyki.
Salwy za murem getta
Głuszyła skoczna melodia
I wlatywały pary
Wysoko w pogodne niebo.

Czasem wiatr z domów płonących
Przynosił czarne latawce,
Łapali skrawki w powietrzu
Jadący na karuzeli.
Rozwiewał suknie dziewczynom
Wiatr od tych domów płonących,

Śmiały się tłumy wesołe
W czas pięknej warszawskiej niedzieli.

Morał ktoś może wyczyta,
Że lud warszawski czy rzymski
Handluje, bawi się, kocha
Mijając męczeńskie stosy.
Inny ktoś morał wyczyta
O rzeczy ludzkich mijaniu,
O zapomnieniu, co rośnie,
Nim jeszcze płomień przygasnął.

Ja jednak wtedy myślałem
O samotności ginących.
O tym, że kiedy Giordano
Wstępował na rusztowanie,
Nie było w ludzkim języku
Ani jednego wyrazu,
Żeby coś zdołał powiedzieć,
Ludzkości, która zostaje.

Już biegli wychylać wino,
Sprzedawać białe rozgwiazdy,
Kosze oliwek i cytryn
Nieśli w wesołym gwarze.
I był już od nich odległy,
Jakby minęły wieki,
A oni chwilę czekali
Na jego odlot w pożarze.

I ci ginący, samotni,
Już zapomniani od świata,
Język nasz stał się im obcy
Jak język dawnej planety.
Aż wszystko będzie legendą
I wtedy po wielu latach
Na wielkim Campo dei Fiori
Bunt wznieci słowo poety.

Warszawa — Wielkanoc, 1943

GŁOSY BIEDNYCH LUDZI

PIOSENKA O KOŃCU ŚWIATA

W dzień końca świata
Pszczoła krąży nad kwiatem nasturcji,
Rybak naprawia błyszczącą sieć.
Skaczą w morzu wesołe delfiny,
Młode wróble czepiają się rynny
I wąż ma złotą skórę, jak powinien mieć.

W dzień końca świata
Kobiety idą polem pod parasolkami,
Pijak zasypia na brzegu trawnika,
Nawołują na ulicy sprzedawcy warzywa
I łódka z żółtym żaglem do wyspy podpływa,
Dźwięk skrzypiec w powietrzu trwa
I noc gwiazdzistą odmyka.

A którzy czekali błyskawic i gromów,
Są zawiedzeni.
A którzy czekali znaków i archanielskich trąb,
Nie wierzą, że staje się już.
Dopóki słońce i księżyc są w górze,
Dopóki trzmiel nawiedza różę,
Dopóki dzieci różowe się rodzą,
Nikt nie wierzy, że staje się już.

Tylko siwy staruszek, który byłby prorokiem,
Ale nie jest prorokiem, bo ma inne zajęcie,
Powiada przewiązując pomidory:
Innego końca świata nie będzie,
Innego końca świata nie będzie.

Warszawa, 1944

PIOSENKA O PORCELANIE

Różowe moje spodeczki,
Kwieciste filiżanki,
Leżące na brzegu rzeczki
Tam kędy przeszły tanki.
Wietrzyk nad wami polata,
Puchy z pierzyny roni,
Na czarny ślad opada
Złamanej cień jabłoni.
Ziemia, gdzie spojrzysz, zasłana
Bryzgami kruchej piany.
Niczego mi proszę pana
Tak nie żal jak porcelany.

Zaledwie wstanie jutrzeńka
Ponad widnokrąg płaski
Słysząc gdzie ziemia stęka
Maleńkich spodeczków trzaski.
Sny majstrów drogocenne,
Pióra zamarzłych łabędzi
Idą w ruczaje podziemne
I żadnej o nich pamięci.
Więc ledwo zerwę się z rana
Mijam to zadumany.
Niczego mi proszę pana
Tak nie żal jak porcelany.

Równina do brzegu słońca
Miazgą skorupiek pokryta.
Ich warstwa rześko chrupiąca
Pod moimi butami zgrzyta.
O świecidełka wy płone
Co radowałyście barwą
Teraz ach zaplamione

Brzydką zakrzepłą farbą.
Leżą na świeżych kurhanach
Uszka i denka i dzbany.
Niczego mi proszę pana
Tak nie żal jak porcelany.

Washington D.C.,

Co czynisz na gruzach katedry
Świętego Jana, poeto,
W ten ciepły, wiosenny dzień?

Co myślisz tutaj, gdzie wiatr
Od Wisty wiejąc rozwiewa
Czerwony pył rumowiska?

Przysięgałeś, że nigdy nie będziesz
Płaczką żałobną.
Przysięgałeś, że nigdy nie dotkniesz
Ran wielkich swego narodu,
Aby nie zmienić ich w świętość,
Przekłętą świętość, co ściga
Przez dalsze wieki potomnych.

Ale ten płacz Antygony,
Co szuka swojego brata,
To jest zaiste nad miarę
Wytrzymałości. A serce
To kamień, w którym jak owad
Zamknięta jest ciemna miłość
Najnieszcześniejszej ziemi.

Nie chciałem kochać tak,
Nie było to moim zamiarem.
Nie chciałem litować się tak,
Nie było to moim zamiarem.
Moje pióro jest lżejsze
Niż pióro kolibra. To brzemię
Nie jest na moje siły.
Jakże mam mieszkać w tym kraju,
Gdzie noga potraça o kości
Nie pogrzebane najbliższych?

Słyszę głosy, widzę uśmiechy. Nie mogę
Nic napisać, bo pięcioro rąk
Chwyta mi moje pióro
I każe pisać ich dzieje,
Dzieje ich życia i śmierci.
Czyż na to jestem stworzony,
By zostać płaczką żałobną?
Ja chcę opiewać festyny,
Radosne gaje, do których
Wprowadzał mnie Szekspir. Zostawcie
Poetom chwilę radości,
Bo zginie wasz świat.

Szaleństwo tak żyć bez uśmiechu
I dwa powtarzać wyrazy
Zwrócone do was, umarli,
Do was, których udziałem
Miało być wesele
Czynów myśli i ciała, pieśni, uczt.
Dwa ocalone wyrazy:
Prawda i sprawiedliwość.

Warszawa, 1945

PIEŚŃ OBYWATELA

Kamień z dna, który widział wysychanie mórz
I milion białych ryb skaczących w męczarni —
Ja, biedny człowiek, widzę mrowie białych obnażonych ludów
Bez wolności. Kraba widzę, który ich ciałem się karmi.

Widziałem upadek państw i zgubę narodów,
Ucieczkę królów i cesarzy, potęgę tyranów.
Mogę powiedzieć teraz, w tej godzinie,
Że jednak — jestem, chociaż wszystko ginie,
Że lepszy jest pies żywy niżli zdechły lew,
Jak mówi Pismo.

Ja, biedny człowiek, siedząc na zimnym krześle, z przyciśniętymi oczami,
Wzdycham i myślę o gwiazdzistym niebie,
O nieeuklidesowej przestrzeni, o pączkującej amebie,
O wysokich kopcach termitów.

Kiedy chodzę, jestem we śnie, gdy zasnę, przydarza się jawa,
Biegnę goniony i obłany potem,
Na placach miast, które zorza unosi jaskrawa,
Pod marmurowym szczątkiem roztrzaskanych bram
Handluję wódką i złotem.

A przecie byłem już nieraz tak blisko,
Sięgałem w serce metalu, w ducha ziemi i ognia, i wody,
I niewiadome odsłaniało twarz,
Jak odsłania się noc spokojna w strumieniu odbita.
I witały mnie lustrzane, miedzianolistne ogrody,
Które gasną, kiedy się je chwyta.

I blisko, tuż za oknem, oranżeria światów,
Gdzie mały chrabąszcz i pająk są równe planecie,
Gdzie jak Saturn rozjarza się wędrowny atom,

A niż obok żeńcy podnoszą do ust zimny dzban
W upalnym lecie.

Tego chciałem i więcej niczego. W starości
Jak stary Goethe stanąć przed obliczem ziemi
I rozpoznać ją, i pogodzić ją
Z dziełem, wzniesionym jak leśna forteca
Nad rzeką zmiennych światła i nietrwałych cieni.

Tego chciałem i więcej niczego. Więc któż
Winien? Kto sprawił, że mi odebrano
Młodość i wiek dojrzały, że mi zaprawiono
Moje najlepsze lata przerażeniem? Któż,
Ach któż jest winien, kto winien, o Boże?

I myśleć mogę tylko o gwiazdzistym niebie,
O wysokich kopcach termitów.

Warszawa, 1943

MOJA WIERNA MOWO

Moja wierna mowo,
służyłem tobie.

Co noc stawiałem przed tobą miseczki z kolorami,
żebyś miała i brzozę i konika polnego i gila
zachowanych w mojej pamięci.

Trwało to dużo lat.

Byłaś moją ojczyzną bo zabrakło innej.
Myślałem że będziesz także pośredniczką
pomiędzy mną i dobrymi ludźmi,
choćby ich było dwudziestu, dziesięciu,
albo nie urodzili się jeszcze.

Teraz przyznaję się do zwątpienia.

Są chwile kiedy wydaje się, że zmarnowałem życie.
Bo ty jesteś mową upodlonych,
mową nierozumnych i nienawidzących
siebie bardziej może niż innych narodów,
mową konfidentów,
mową pomieszanych,
chorych na własną niewinność.

Ale bez ciebie kim jestem.

Tylko szkolarzem gdzieś w odległym kraju,
a *success*, bez leku i poniżeń.
No tak, kim jestem bez ciebie.
Filozofem takim jak każdy.

Rozumiem, to ma być moje wychowanie:

gloria indywidualności odjęta,
Grzesznikowi z moralitetu
czerwony dywan podściela Wielki Chwał,
a w tym samym czasie latarnia magiczna
rzuca na płótno obrazy ludzkiej i boskiej udręki.

Moja wierna mowo,
może to jednak ja muszę cię ratować.
Wiec będę dalej stawiać przed tobą miseczki z kolorami
jasnymi i czystymi jeżeli to możliwe,
bo w nieszczęściu potrzebny jakiś ład czy piękno.

Berkeley, 1968

Antyгона

Antyгона :

Przyjmować wszystko, tak, jak się przyjmuje
Po wiosnie lato, zimę po jesieni,
Na sprawy ludzkie patrzeć obojętnie
Jak na kolejność bezmyślnej przyrody?
Dopóki żyję, będę wołać: nie.
Słyszysz Ismeno? Będę wołać: nie.
I nie chcę żadnych waszych uspokojień,
Kwiatów w wiosenną noc, ani słowika,
Słońca ni chmur, ani przyjaznych rzek.
Niczego. Niechaj trwa nieuśmierzone
To, co zostało i to, co zostanie.
Jedynie godne pamięci: nasz ból.
Te zardzewiałe ruiny, Ismeno,
Wiedzą o wszystkim. Czarnym skrzydłem kruka
Śmierć oddzieliła nas od tamtych lat
Gdyśmy myślały, że nasza kraina
Jest jak zwyczajne krainy. Że ród
Nasz taki sam jak i inne rody.
Przekleństwo losu wiedzie do ofiary.
Ofiara wiedzie do przekleństwa losu.
Gdy to się spełnia, to już nie jest pora
Niewielkie życie swoje własne chronić
I nie jest pora nad sobą łzy ronić.
Na nic nie pora. Niech wielkie zniszczenie
Przebiegnie całą bezlitosną ziemię,
Niech tym, co z naszej rozpaczy się śmieją
Ich własne miasta obrócą się w gruz.
Prawo Kreona! I zakaz Kreona!
Czymże jest Kreon, kiedy ginie świat?

Ismena :

Tak, ale nasi rodzice nie żyją
I nasi bracia nie żyją. I żaden
Bunt ich nie wróci. Po cóż sięgać wstecz?
Starzec o kiju błądzi w głuchym mieście
Próżno szukając tam synów poległych,
Stare kobiety, ciche żalobnice,
Stapają w pyle z pochyloną twarzą.
Ale już zieleń ponurych okolic,
Piołun, pokrzywa, wdziera się na zgliszcza,
Motyl, jak płatek papieru w pożarze,
Fruwa u skraju kamienistych urtwisk,
Obdarte dzieci idą znów do szkoły
Ręce splatają znowu kochankowie,
I jest w tym rytm, wierzaj mi, potężny,
Płacz pomieszany z zachwytem — jak gdyby
Nowy na ziemię powrót Persefony.

Antygona :

Głupcy są zdania, że kiedy poświęcą
Pamięć przeszłości, będą żyć szczęśliwi.
I głupcy myślą: zgon jednego miasta
Nie jest dla innych miast jeszcze wyrokiem.

Ismena :

Ty nie umniejszaj trudu, Antygono.
Z jakim i usta i serca zmuszamy
Aby milczały. Bo takie zwycięstwo
Też jest zwycięstwem i daje nadzieję.

Antygona :

Mnie niepotrzebna jest wasza nadzieja,
Bo ja widziałam resztki Polinika
Tam, u podnóża strzaskanej katedry,
Ta czaszka, mała jakby czaszka dziecka,
Z kosmykiem jasnych włosów. Kości garstka

W próchno ciemnego płótna owiniętych
I trupi zapach. Oto jest nasz brat,
Którego serce tak jak nasze biło,
Który weselił się i śpiewał pieśni
I strach przed śmiercią znał, bo w nim wołały
Te same głosy, które w nas wołają.
I przewyciężył głosy wzywające
Na jasne życia dalszego obszary.
I dobrowolnie poszedł, aby zginąć,
Wierny danemu słowu i przysiędze.
Dwudziestoletni, piękny i pogodny,
Ileż zamiarów musiał w sobie stłumić,
Ileż zaczętych dzieł, nieśmiałych myśli,
Sam, mocą woli, dawał na zniszczenie.
I on to właśnie, rozkazem Kreona
Został uznany za zdrajcę. Dla niego
Ciemny kąt jakiś na piaskach przedmieścia
I w pustym hełmie zawodzący wiatr.
Ale dla innych, dla złodziei sławy,
Będą wznoszone pomniki i wieńce
Będą dziewczęta na placach składały.
Blaskiem pochodni oświetlone imię.
Tu nic, tu ciemność. Ręką przerażoną
Pisarze, podłym strachem przymuszeni,
Złodziejom sławy nie poskapią słów.
I tak odchodzi, z legendy wyzuty,
W niepamięć wieków — zdrajca czy bohater?

Ismena :

Można słowami ból w płomień rozżarzyć,
Kto milczy, cierpi nie mniej, może więcej.

Antygona :

Nie tylko słowa, Ismeno, nie tylko.
Swojego państwa Kreon nie zbuduje
Na naszych grobach. Swojego porządku

Potęgą miecza tutaj nie ustali.
Wielka jest władza umarłych. Nikt od niej
Nie jest bezpieczny. Choćby się otoczył
Gromadą szpiegów i milionem straży,
Oni dosięgną. Czeka ją godziny.
Są ironiczni, stąpają ze śmiechem
Koło szaleńca, który w nich nie wierzy.
A kiedy będzie sporządzał rachunek
Nagle pojawi się błąd w tym rachunku.
Małe błąd, ale pomnożony,
Wystarczy! Oto błąd w obłąd urasta,
Zbrodnia płomieniem pali wsie i miasta.
Krew! Krew! Czerwonym pragnie atramentem
Przekreślić błąd. Za późno. Skończone.
Nieszczęsny Kreon tak rządzić zamierza
Jakbyśmy byli barbarzyńskim krajem.
Jakby tu każdy kamień nie pamiętał
O łzach rozpaczy i o łzach nadziei.

Washington D.C., 1949

CZESŁAW MIŁOSZ

Traktat moralny
Traktat poetycki

„Gdzież jest, poeto, ocalenie?
Czy coś ocalić może ziemię?
Cóż dał tak zwany świt pokoju?
Ruinom trochę dał powojów,
Nadziejom gorycz, sercom skrytość,
A wątpię, czy obudził litość”.

Więc tak się moja rzecz zaczyna:
Potrzebna tobie dyscyplina
Eliminacji. Po teorie
Nie sięgaj grzecznie i pokornie.
Zmieni się zespół zdań najrzadszy,
Gdy zmienisz punkt, z którego patrzysz:
Islandzkie przeglądając sagi
Pełnej nie dajesz im powagi,
W staroindyjskie wąpisz mity,
Obca ci wiedza Atlantydy,
Totemy prymitywnych plemion
Zwyczajów twoich nie odmienią
(Zresztą szacunek im należny
Co dzień, jak trzeba, w hołdzie nieśmy),
Tak na dzisiejsze spojrzysz baśnie.
Trochę z ukosa. Choć poważnie.

Biedna Hypatia, z której zdarli
Suknie na placu Aleksandrii,
I czarownice, w mieście Salem
Szły na śmierć (pewnie z wielkim żalem),
Skyles, od Scytów za to ścięty,
Że greckim bogom dał prezenty,

Trutki w więzieniach polykane
I krótki miecz szarpiący ranę.
Jeżeli wiesz, co było potem,
To dziwnie ci nad Herodotem.
Mając znajomość z nocy kresem
Zasiadaj nad Tukidydesem
I purpurowy sok destyluj,
Aż palcem dotkniesz ziarna stylu
I szukaj, jaki wtedy będzie
Ślad stopy ludzkiej na legendzie.

Podobnie w nasze dni zamglone,
Stylem zasnutę jak kokonem,
Sięgaj i przędzę bierz za przędzą,
Aż kruche nitki się rozkręcą
I na dnie z wolna się ukaże
Poczwarka nietypkalna zdarzeń.
I przędzę zwiń. I z pełną wiedzą,
Że tylko przez nią oczy śledzą
Tę gwiazdę przeobrażeń wrzącą –
Czyń, póki dni ci się nie skończą.

Metoda jednak nie wystarczy,
Nim ludzki ród nie będzie starszy
I wiedzą, rzekłbym że muzyczną,
Osiągnie jakąś wielką styczną,
To znaczy mądrość tak ruchomą,
Jak sam mistrzowski sapiens homo.

Tymczasem każdy wiary pragnie,
Prosi, by wskazać mu poradnię,
Krzyczą: jest tak, bo prorok twierdzi,

Cytują go expressis verbis,
Odstępców straszą całą ciemną,
Śpiewają w prasie pieśń wojenną,
Ogniste ogłaszają wici
Sztandarem słów bez definicji
I w garnek tom encyklopedii
Kładą: że niby będą jedli.

Epoka nasza czyli zgon,
Ogromna Die Likwidation,
Jak długo, rzecz nie umiem, potrwa,
O jakich usłyszymy łotrach.
Ceń ją, bo przez nią świat się zmienia
Budzący lekkie zastrzeżenia.

Żywot grabarza jest wesoły.
Grzebie systemy, wiary, szkoły,
Ubija nad tym ziemię gładko
Piórem, naganem czy łopatką,
Pełen nadziei, że o wiosnie
Cudny w tym miejscu kwiat wyrośnie.
A wiosny nima. Zawsze grudzień.
Nie rozpraszajmy jednak złudzeń.

Ciebie zapraszam dziś do arki,
Która przez czasu potok wartki
Na nowe brzegi nas poniesie.
Łądujesz w zatopionym lesie,
Mgły opadają, w górze tęcza,
I gołąb liść zielony wręcza.
Za sto, a może za lat dwieście,
Gdzieś w Taorminie, może w Trieście,

We Francji (Chinach Europy),
Czy tam, gdzie dzisiaj stolic groby –
Maleńkie centrum nauk błysnie
I hasło nowej da ojczyźnie.
Patrz, jak zmieniona perspektywa:
Już nie to wielkim się nazywa,
Co się nam wielkim wydawało.
Kroniki są już kartą białą.
Ci, którzy dzisiaj dzieje tworzą,
Pod darń trawników głowę złożą,
Wnuk barbarzyńców zamyślony
W słońcu tam czyta stare tomy,
Dawny mu wawrzyn czoło pali,
Myśli o tych, co zachowali
I poprzez ciemność skarb przenieśli,
O którym znów się składa pieśni.

Lecz nie jest moim to zamiarem
Przyszłość otaczać złudnym czarem.
Po przyszłościowej cóż iluzji,
Jeżeli dniom codziennym bluźni
I ufność nie po równi dzieli
Pomiędzy współobywateli.
Żyjesz tu, teraz. Hic et nunc.
Masz jedno życie, jeden punkt.
Co zdążysz zrobić, to zostanie,
Choćby ktoś inne mógł mieć zdanie.
Nowa konwencja już się tworzy.
Nie mów: konwencja długich noży.
Nie wątpię, że jest bardzo zła,
Lecz wynalazłem ją nie ja.
Oskarżaj, jeśli masz ochotę,

W weneckich bankach sztaby złote,
Elżbietę, Lutra, kres Armady,
Wersalskie bale, defilady,
Tatarów, że nas najechali,
Wojnę Stuletnią – i tak dalej.
Choćbyś zazdrościł psom i ptakom,
Musisz ją przyjąć jako taką,
A więc po prostu jak zdarzenie
Na naszej obrotowej scenie –
I płyniesz w tym społecznym fackie,
Jak orzech w Nilu katarakcie.

Nie jesteś jednak tak bezwolny,
A choćbyś był jak kamień polny,
Lawina bieg od tego zmienia,
Po jakich toczy się kamieniach.
I, jak zwykł mawiać już ktoś inny,
Możesz, więc wpłynąć na bieg lawiny.
Łagodź jej dzikość, okrucieństwo,
Do tego też potrzebne męstwo,
A chociaż nowoczesne państwo
Na służbę grzmi samarytańską,
Zbyt wieleśmy widzieli zbrodni,
Byśmy się dobra wyrzec mogli
I mówiąc: krew jest dzisiaj tania –
Zasiąść spokojnie do śniadania,
Albo konieczność widząc bredni
Uznawać je za chleb powszedni.
A więc pamiętaj – w trudną porę
Marzeń masz być ambasadorem,
Tych marzeń sennych z głębi mroku,
Co mają pulchną twarz baroku,

Albo spokojny żart etruski
W powiekach jak sosnowe łuski.
I trzy tysiące lat się wplata
W twój sen i przeszłość opowiada,
A politycznym twym wybiegom
Wtórzuje rechot Rabelais'go.

Wiem, jaka czeka nas pokusa:
Już nowy pochód żwawo rusza,
Pośmiertna czkawka Heidelbergu,
Pociecha zrozpaczonych klerków.
Pomimo wszystko Ding an Sich
Wciąż jeszcze pokutuje w nich,
Więc zagubieni wśród chaosu
Za nowy się chwycili sposób
I chcąc mieć coś, co jednak trwa,
Znaleźli to: Être pour Soi.
Chętnie bym dał im sławy palmę,
Lecz rzeczy to nieosiągalne,
Bo nikt z konwencji (czy formacji)
Na którejś nie wysiadzie stacji,
Ażeby się zabawić mile
Siatką na Être czy na motyle.
Chowając dzieci, tworząc prawa,
Człowiek przed Wszchemogącym stawa,
Działaniem z chwili czyni wieczność
I obca mu sartrowska sprzeczność.
(A lepiej nawet żyć bez Trwogi,
Niż wpaść w pułapki ontologii),

Nie mówię tu o całej aurze,
W której się właśnie Paryż babrze.

Znów na bulwarze Saint-Michel
Niemałże mit, niemał Sorel,
I Bergson znów, élan vital,
Naprawdę przykro jest i żal.

Po tym, co rzekłem już na wstępie,
Nie myśl, że głupstw tych nie potępię.
Sceptycyzm mój pojemnie mieści
Pęd ku metodzie, żart dla treści,
Podczas gdy ci irracjonalni
Świat widzą na kształt wielkiej balii,
A każdy grzebie się tam w magmie,
No i wybiera to co pragnie.
Z moich słów, proszę, żadnych wniosków
Nie chcesz wyciągać po żakowsku.
Że niby Sartre'a rzuć pod szafę,
Że urządź małe autodafe,
Przeciwnie, bo w mojej teorii
Herezja w wielkiej chodzi glorii,
Bo sól epoki jest w herezji,
Zwłaszcza gdy to pisarze nieźli.*)

*) Jednakże jestem tego zdania,
Że mogą być prześladowania
I chcę przestrożę dać rodakom,
Z góry opowieść pisząc taką:
W Krakowie zdarzył się wypadek:
Ktoś przyniósł pannie czekoladek
I tak na łóżku, en passant,
Znalazł tam „L'Étre et le Néant”.
Widzę tłum egzystencjalistek,
Nagie, a każda drży jak listek,
Na plac Mariacki je wywlekli,
Szydzili i różgami siekli

Na obcych zresztą bardzo nie licz.
U nas ciekawy jest Witkiewicz.
Umysł drapieżny. Jego książek
Nie czytać – prawie obowiązek.
W ciągu najbliższych stu lat chyba
Nikt w Polsce jego dzieł nie wyda,
Aż ta formacja, co go znała,
Stanie się już niezrozumiała,
I jaka była w nim trucizna
Najlepszy spec się już nie wyzna.

Wiersz mój chce chronić od rozpaczny,
Tej właśnie, jaką miał Witkacy,
Kiedy część prawdy widząc trafnie
Sam w swoje własne wpadł zapadnie
I w owym wrześnie, pełnym żalu,
Potężną dozą weronalu
Śmierć uznał za rzecz tak zaszczytną,
Że to, co zaczął, skończył brzytwą.
Balzak na niego jest odtrutką:
Wszystko co trzyma ciebie krótko
I rozszerzając ziemski gmach
Budzi namiętność ludzkich spraw.

Dosyć o książkach. Ludzie ważni.
Trzeba nie lada wyobraźni,

I dali każdej, mimo swobód,
Pięćdziesiąt pięć lat ciężkich robót.
Nie wiem, czy stara książka Sartre'a
Tak wielkiej kary była warta,
A choć to żart, rzecz jest możliwa,
Tak egzystencjalistom bywa.

Żeby ich dziś oceniać celnie,
W rozwadze chodząc niby w hełmie.
Poważnie ciebie ostrzec muszę:
Łatwiej niż sądzisz zgubić duszę
Przez niewłaściwe towarzystwo,
Bo jesteś gąbką – wchłaniasz wszystko.
Zasada musi być surowa,
Niech się nic w próbie nie uchowa,
Wzrok masz jak promień mieć Roentgena
(Nie jest to nazbyt miła scena).
Lepiej, byś miał się wydać oschły,
Byleby ciebie nie obrosty
Mchy tropikalne dusz niemytych,
Straszhliwej nocy stalaktyty.
Metodą moją ludzi zlicz-no:
Najściślej arystokratyczną.

Strzeż się wariatów. Ci są mili,
Póki w zakładach ich więzili,
Albo trzymali w zwykłej stajni.
Są dziś wariaci miarodajni.
I każdy macha swą pałeczką
I patrzy z góry, moje dziecko.
Zaiste, wariat na swobodzie
Największą klęską jest w przyrodzie.

Nie czas na kpinki, bo się pleni
Szczególny rodzaj schizofrenii.
Jeżeli wierzę w finis terrae,
To nie, że środki są niezmierne
I że zrobiono B Atomic,
Lecz że się zjawił katatonik

jako społeczna pewna postać
I on ma postępowi sprostać.
Psychologiczna stąd wymowa,
Jaką ma sprawa atomowa,
A Babel na ostatniej cegle
Kładzie dwie klęski równoległe.

Bo schizofrenia – rozdwojenie
Istoty na kwiat i korzenie,
Poczucie, że te moje czyny
Spełniam nie ja, ale ktoś inny.
Kark skrócić komuś jest drobnostką,
Potem Komedie czytać Boską,
Czy stary oklaskiwać kwartet,
Lub dyskutować awangardę.
Na mniejszą skalę, to codzienne,
Ktoś mówi: zło jest bezimienne,
A nas użyto jak narzędzi.
Ma rację. I ku zgubie pędzi.

Fenomen ten, jak nam się jawi,
Jest skutkiem naciskania lawin
Na glebę, gdzie złożyły wieki
Mocno osiadły kult dla etyki.
Jeżeli tutaj ktoś pozwoli
Ponownie użyć paraboli,
Na pomoc fizyków pomysłem
Inne rozbicie jądra przyszło.

Jak ich rozpoznać? Wykrój powiek
Mają nie ten, co zwykły człowiek,
I w oczach mętny błysk owadzi –

Ten ich najczęściej nagle zdradzi.
Cała ta wizja mi nie obca:
Widziałem to już w gestapowcach,
U Hieronima także Boscha,
Gdzie diabli, na piekielnych łożach,
Wsadzają w potępieńców widły.
Więc widok swojski, choć obrzydły.
Umieją się maskować zresztą,
Więc z pewnym przybliżeniem bierz to.

Nie sądz poza tym zbyt pochopnie,
Bo różne są obłędu stopnie
I z chęcią, czy też mimo chęci,
Wszyscy jesteście nim objęci.
Tak się ten przykry sens odsłania:
Obłęd dziś ceną jest działania
I chyba tylko eremita,
Co w wieży Augustyna czyta,
Sądzi, że umknąć mu się uda.
Wątpliwa jednak to zasługa.
Myśl, co uważasz za stosowne,
Ja tutaj tylko ci przypomnę,
Że diabeł, jak z lektury wiem,
Jest séparé de lui-même.

Unikaj tych, co w swoim gronie
Pograwszy w polityczne konie,
Gdy na kominku ogień trzaska,
Wołają: lud, a szepczą: miazga,
Wołają: naród, szepczą: gie.
Myślę, że robią bardzo źle,
Bo upajają się pozorem.

Sami są tylko meteorem
I lata ich czekają długie,
Gdy ich obracać będą pługiem,
I dużo wody minie w Wiśle,
Nim o nich znowu ktoś gdzieś piśnie.

Bynajmniej tobie nie doradzam,
Ażebyś w komitywie chadzał
Z tymi, co są jak ślepe krety
W jaskrawym wieku pełnym krzepy.
Chcieliby w swojej żyć parafii,
W ogródkach siedzieć malw i szalwii
I czasem w amarantach wojsko
Widzieć jadące drogą polską.
Chcieliby, żeby kołowrotki
Furczały w takt pra-polskiej zwrotki
I żeby u nas było sielsko
(Jak choćby nad Zatoką Perską).
Tak z tym sarmackim animuszem
Kraj zamieszkują mętnych wzruszeń
I jest to coś na kształt bagniska:
Traf tam, a coraz głębiej wciska.

A zresztą intuicją wsparty,
A także porcją zdrowej wzgardy,
Lepiej odnajdziesz dobrą drogę,
Niżeli tobie wskazać mogę.
A że stanowczo nie wypada
Rzucać kamieniem na sąsiada,
Kiedy artystów w tym pomine,
To słuszną będę miał przyczynę.
Chcąc służyć jednak ci wskazówką



Enigmatyczne powiem słówko:
Obojętności wstrętna skaza
Po stokroć w sztuce się pomnaża.
Jeżeli wiersz i proza wędna,
Nie szukaj przyczyn, a patrz w sedno.
Kto w smutnym znalazł smak cynizmie,
Ten się losowi nie wyśliźnie.
A z dobrą miną do złej gry
Na pewno nie chadzają lwy.

Zwróciłeś pewnie już uwagę:
Nacisk na sposób życia kładę.
Masę masz zrobić na tym polu,
Pomówmy więc o alkoholu.

Pośród żarcików, anegdotek,
Szlachecki wspominając miodek,
Chyli się Polska w trudne czasy
Przed bóstwem wódki i kiełbasy.
I przed płaczami i po płaczach
Po prasłowiańsku się zatacza,
I z czkawką licząc swe ubóstwo
Racji do chluby widzi mnóstwo.

Zjawisko wódki jest ciekawe,
Warto poświęcić mu rozprawę,
Ze wszystkich trunków ona jedna
Dymom zagłady jest pokrewna.
W niej miast płonących widać migot,
Przez cienkie szkło skazańcy idą,
A kiedy w nocy domy syczą
I w oknach pożar jest żrenicą,

Nad litrem z osowiałą twarzą
Zasiedli bracia Karamazow.
Jak nad mrowiskiem w letnim cieple
Zapach mrówczego kwasu krzepnie,
Tak odór nad nieszczęsnym krajem
Z dala podróżnym sygnał daje:
„Cywilizacja krwi i łez
La civilisation des punaises”.
I choć się tobie wyda dziwne,
Że na to zło (fakultatywne)
Marnuję cenne ciało wiersza –
Kwestia jest ważna, choć nie pierwsza.

Żegnaj mi. Z rąk do rąk podajmy
Skromnej mądrości dar zwyczajny.
Jak widzisz, nie mam ja recepty,
Do żadnej nie należę sekty,
A ocalenie tylko w tobie.
Jest to po prostu może zdrowie
Umysłu, serca równowaga,
Bo czasem prosty lek pomaga,
A lekarz, kiedy jest znużony
Odpowiadaniem na androny
I szarlataństwa mu dopieką –
Zaleca befsztyk, rosół, mleko.
Oto twój świat na ostrzu miecza:
Zrywa się wiatr, na trawie wznieca
Uschniętych liści małe wiry,
Gołębie się nad daszek wzbily,
Zaszczekał pies, przebiegło dziecko,
Ktoś komuś daje znak chusteczką.
Oto twój świat. On jest na szali.

Politycy grę już przegrali,
Triumfy ich tylko pozorne
Jak błyskawice są wieczorne,
Choć nikt z nich nigdy nie utraci
Ufności w moc indoktrynacji,
Która wyznawców da kohorty.
Społeczne jednak są retorty
Bardziej złożone, a pierwiastki
Jak nieodkryte płyną gwiazdy.
Nowy pierwiastek dodawany
Nieraz pracowni burzy ściany,
A to, co z góry teraz leci,
Na likwor sypie się stuleci
I wynik będzie całkiem różny
Że w końcu dobry, tak założmy.
Jeżeli wzrok masz przenikliwy,
Obce dla innych widzisz dziwy,
Tak promień ultrafioletowy
Obraz nam ukazuje nowy
I przez materii biegnąc skręty
Składniki obce i pigmenty
W zwykłych przedmiotach nam odsłania:
To godne zwykle jest badania.
Na dziś nie daję ci nadziei,
Nie czekaj darmo treuga Dei,
Bo z życia, które tobie dano,
Magiczną nie uciekniesz bramą.
Idźmy w pokoju, ludzie prości.
Przed nami jest
- „Jądro ciemności”.

Waszyngton, 1947

Litował się nad nimi, sam godzien litości.
Bo to jest poza wyrazami jakiegokolwiek języka.
Nawet syntaxis, ciemna, jak mu zarzucano,
Słowa tak ułożone że z potrójnym sensem,
Niczego nie obejmą. Te palce w sandale,
Pierś dziewczyny tak drobna pod ręką Artemis,
Pot, oliwa na twarzy człowieka z okrętów
Uczestniczą w Powszechnym, osobno istniejąc.
Swoi we śnie i sobie już tylko oddani,
Z miłością do zapachu zniszczalnego ciała,
Do centralnego ciepła pod włosiem pubicznym,
Z kolanami pod brodą, wiemy, że jest Wszystko
I tęsknimy daremnie. Swoi, więc zwierzęcy.
Poszczególne istnienie odbiera nam światło
(To zdanie da się czytać w obie strony).
„Nikt jak on nie był dumny i wzgardliwy”.
Bo torturował siebie, wybaczyć nie mogąc
Że chwila świadomości nigdy nas nie zmienia.
Litość dosięgła gniewu. Aż uciekł z Efezu.
Twarzy ludzkiej oglądać nie chciał. Mieszkał w górach.
Jadł trawę i listowie, powiada Laertius.
Pod stromym brzegiem Azji morze kładło fale
(Z wysoka fal nie widać, widać tylko morze),
A tam czy echo niesie dzwoneczki monstrancji,
Czy płyną złote szaty Orlanda Furioso,
Czy pysk ryby zdejmuje płynną farbę z ust
Radiotelegrafistki głębinowych łodzi?

Montgeron, 1960

Do polityka

Autor: CZESŁAW MIŁOSZ

Kto ty jesteś człowieku – zbrodniarz czy bohater?

Ty, którego do czynu wychowała noc.

Oto starca i dziecka w ręku dierzysz los

I twarz twoja zakryta

Jak golem nad światem.

Czy obrócisz w popioły miasto czy ojczyznę?

Stój! Zadrżnij w sercu swoim! Nie umywaj rąk!

Nie oddawaj wyroku niespełnionym dziejom!

Twoja jest waga i twój jest miecz.

Ty ponad ludzką troską, gniewem i nadzieją

Ocalasz albo gubisz

Pospolitą rzecz.

Ty jesteś dobry i w gronie rodziny

Pieściłeś nieraz blask dziecinnych głów.

Ale jeżeli przeklnie ciebie – milion rodzin?

Biada! Co pozostanie z twoich dobrych dni?

Co pozostanie z twoich krzepkich mów?

Ciemność nadchodzi.

Gwarne miasta i pola, kopalnie, okręty

Na twojej dłoni, ludzkiej, jakże ludzkiej.

Patrz. Linia twego życia tędy będzie szła.

Trzykroć błogosławiony

Po trzykroć przeklęty

Władco dobra

Albo władco zła.

Kraków 1945

EPIGRAF

Unde malum? – Skąd zło? – pytają ludzie. Liczne, choć dość do siebie podobne, teodycee udzielają na to pytanie odpowiedzi, ale odpowiedzi, które zadowolają (czy zadowolają?) jedynie twórców tych teodycei oraz miłośników zajmującej lektury. Innych natomiast teodycee drażnią i to rozdrażnienie jest wprost proporcjonalne do natarczywości, z jaką zagadnienie zła narzuca się danemu człowiekowi. A kiedy ta natarczywość dosięga najwyższego stopnia, jak na przykład u Hioba, myśl o teodycei wydaje się bluźniercza. Jakiegokolwiek „tłumaczenie” jego nieszczęść zwiększa tylko boleść Hioba. Niepotrzebne są żadne wyjaśnienia, żadne odpowiedzi. Niepotrzebne są też pociechy. Hiob przeklina odwiedzających go przyjaciół właśnie dlatego, że są jego przyjaciółmi i że jako przyjaciele chcą „ulżyć” jego doli, o ile w ogóle człowiek może przynieść ulgę innemu. Dla Hioba najgorsze jest to „o ile”. Skoro nie można pomóc – to lepiej nie pocieszać. Innymi słowy: można zapytywać (a w wypadku Hioba nie można nie zapytywać): skąd zło? Ale odpowiadać na to pytanie nie wolno. I tylko kiedy filozofowie rozumieją, że ani na to pytanie, ani na wiele innych pytań nie wolno odpowiadać, uświadomią sobie, że nie zawsze zapytujemy, żeby dawać odpowiedź, że są pytania, których całe znaczenie na tym polega, że nie dopuszczają odpowiedzi, bo każda odpowiedź je zabija. Nie bardzo zrozumiałe? Co robić. Nie do takich rzeczy przyzwyczajają się człowiek.

Lew Szestow, Afimy i Jerusolim

JAR POWINNO BYĆ W NIEBIE

Jak powinno być w niebie wiem, bo tam bywałem.
U jego rzeki. Słyszając jego ptaki.
W jego sezonie: latem, zaraz po wschodzie słońca.
Zrywałem się i biegłem do moich tysięcznych prac,
A ogród był nadziemski) dany wyobraźni.
Życie spędziłem układając rytmiczne zaklęcia,
Tego co ze mną się działo nie bardzo świadomy
Ale dążąc, ścigając bez ustanku
Nazwę i formę. Myślę, że ruch krwi
Tam powinien być dalej triumfalnym ruchem
Wyższego, że tak powiem, stopnia. Że zapach lewkonii
I nasturcja i pszczoła i buczący trzmiel,
Czy sama ich esencja, mocniejsza niż tutaj,
Muszą tak samo wzywać do sedna, w sam środek
Za labiryntem rzeczy. Bo jakżeby umysł
Mógł zaprzestać pogoni, od Nieskończonego
Biorąc oczarowanie, dziwność, obietnicę?
Ale gdzie będzie ona, droga nam śmiertelność?
Gdzie czas, który nas niszczy i razem ocala?
To już za trudne dla mnie. Pokój wieczny
Nie mógłby mieć poranków i wieczorów.
A to już dostatecznie mówi przeciw niemu.
I zęby sobie na tym połamie teolog.

Rzym, 1986

SZEŚĆ WYKŁADÓW WIERSZEM

WYKŁAD I

Jakże wam opowiedzieć? Do jakich odesłać was kronik?
Wyobraźcie sobie młodzieńca, który idzie brzegiem jeziora
W upalne przedpołudnie. Szklą się panny wodne
Nad sitowiem, jak zawsze. Ale jeszcze nie ma
Niczego co miało być. Zrozumcie: niczego.
Czy też może jest, ale niedokonane:
Ciała wyznaczone dla ran, miasta dla zniszczenia,
Ból nieobjętej liczby, każdy inny,
Cement na krematoria, państwa do podziału,
Mordercy wylosowani — ty, i ty, i ty.
A tak. I odrzutowiec. Tranzystor. Video.
Ludzie na księżycu. Ten idzie i nie wie.

Zbliża się do zatoczki, niby to plaży.
Opala się tam towarzystwo z dworku-pensjonatu,
Panowie i panie, nudzący się,
W rozmowie o kto z kim, brydżu i nowym tango.
Ten młody człowiek to ja. Byłem nim, może jestem
Choć minęło pół wieku. Pamiętam i nie pamiętam
Jego i ich oddzielenie. On inny, obcy, obcy.
Zamknięci w jego umyśle odjeżdżają, giną,
On nimi gardzi, sędzia, obserwator.
Tak oto chorobliwość wieku pokwitania
Odgaduje chorobę historycznej fazy,
Która nie skończy się dobrze. Czego nieświadomi
Zasługują na karę: chcieli żyć, nic więcej.

Fala, okruchy trzciny na żwirach, obłoki.
Za wodą dachy wioski, las, i wyobraźnia,
W niej żydowskie miasteczka, pociąg na równinie.
Abyssus. Ziemia się chwieje. Czy to tylko teraz
Kiedy tutaj otwieram labirynty czasu,
Tak jakby wiedzieć znaczyło rozumieć
A za oknem kolibry odprawiają taniec?

Powinienem być. Co powinienem być, pięćdziesiąt pięć lat temu?
Życ w radości. W harmonii. W wierze. W pojednaniu.
Jak gdyby można było. A później zdziwienie:
Czemu nie byli mądrzy? Niby się układa
Gra przyczyny i skutku? Nie, to też wątpliwe.
Odpowiedzialny będzie każdy kto oddychał.
Powietrzem? Nierozumem? Ułudą? Ideą?
Niejasny, tak jak każdy, kto żył tam i wtedy,
Spowiadam się przed wami, moja młoda klaso.

WYKŁAD II

Czułe matki i siostry, żony i kochanki.
Pomyślcie o nich. Żyły i miały imiona.
Widziałem na gorącej plaży Adriatyku
Wtedy, między wojnami, dziewczynę tak piękną,
Że chciałem ją zatrzymać w niepowrotnej chwili.
Jej wysmukłość opięta kostiumem z jedwabiu
(Przed erą tworzyw sztucznych), koloru indygo,
Czy też ultramaryny. Oczy, fiołkowe,
Włosy blond, lekko rdzawe: córka patrycjusza,
Rycerskich rodów może, pewnie stąpająca.
Jasnowłosi młodzieńcy, równie urodziwi,
Byli jej świtą. Sigrid albo Inge,
Z domu gdzie zapach cygar, dobrobyt, porządek.

„Nie odjeżdżaj, szalona. W rzeźby hieratyczne
Schroń się, w mozaiki katedr, złotobarwne zorze,
Zostań echem na wodach o zachodzie słońca.
Nie gub siebie, nie ufaj. Nie wzniosłość i chwała,
Małpi cyrk ciebie wzywa, twój obrzęd plemienny”.

Tak mógłbym jej powiedzieć. Esencja? Osoba?
Dusza niepowtarzalna? A dzień urodzenia
I miejsce urodzenia, niby układ gwiazd,
Kontrolują kim będzie? Żeby ją uwiodła
Miłość do obyczaju, posłuszeństwo-cnota?

Mylił się jednak Dante. Nie tak się odbywa.
Wyrok jest kolektywny. Wieczne potępienie
Musiałoby ich spotkać wszystkich, tak jest, wszystkich.
Co chyba niemożliwe. Jezus ma przed sobą
Imbryki w kwiaty, kawę, filozofowanie,
Landszaft, bicie zegara na wieży ratusza.
Nikogo nie przekona, nędzny, czarnooki,
Z garbatym nosem, w niechlujnej odzieży

Jeńca czy niewolnika, jeden z tych włóczęgów,
Których słusznie wyławia i usuwa państwo.
Teraz kiedy wiem dużo, własne moje winy
Muszę sobie wybaczać, do ich win podobne:
Chciałem dorównać innym, być zawsze jak oni,
Zamknąć uszy, nie słyszeć wezwania proroków.
Dlatego ją rozumiem. Zaciszny dom, zieleń,
I z głębin piekła fuga Sebastiana Bacha.

WYKŁAD III

Biedna ludzkość koczuje na dworcowych płytach.
Uszate czapki, chustki, waciaki, tołuby.
Śpi pokotem, czeka na pociąg. Zawiewa mrozem od drzwi.
Wchodzą nowi, strząsają śnieg, przybywa błota.

Wiem, że nie dla was wiedza o Smoleńsku czy Saratowie.
Co i lepiej. Kto może, niech unika
Współczucia, tego bólu wyobraźni.
Więc nie będę dokładny. Ledwo urywki, zarys.

Ukazują się. Jest ich czworo. Trzech mężczyzn i kobieta.
Skóra ich długich butów miękka, pierwszej klasy,
Kurty z drogiego błamu. Ruchy pewne, zwinne.
Prowadzą na smyczy wilczury. Spójrzcie na nią,
Szeroką, trochę senną, dobrze wykochaną,
Spoglądającą wzgardliwie spod czapki bobrowej.

Czyż nie dowodzi jasno do kogo należy władza,
Kto bierze tu nagrodę? Ideologiczną,
Jeżeli kto tak woli. Bowiem nic tu nie jest
Jawne, zawsze w przebraniu rytualnej frazy,
Chociaż strach jest prawdziwy, ludzie pokorni,
I tam skąd jedzie tych czworo, w śnieżnej zawiei,
Prawdziwy drut kolczasty, wyszki obozu.

Na Kongresie Obrońców Kultury w Paryżu,
Wiosną 1935, mój kolega student
Wędrujący po Europie, Gunther z Marburga
Śmiał się. Wielbiciel Stefana George,
Pisywał wiersze o rycerskich cnotach
I nosił kieszonkowe wydanie Nietzschego.
Miał następnie zginąć, może pod Smoleńskiem.
Od czyjej kuli? Jednego z tych śpiących?
Nadzorczy z wilczurami? Więźnia z za drutów?
Tej Nadi albo Iriny? Nic nie wiedział o nich.

WYKŁAD IV

Z rzeczywistością co zrobimy? W słowach gdzie ona?
Ledwo mignie, już znika. Niepoliczone żywoty
Nigdy nie wspomniane. Miasta na mapach
Bez twarzy na pierwszym piętrze w domu przy rynku,
Bez ich dwojga w krzakach koło gazowni.
Sezony powracające, górskie śniegi, morza,
Obracająca się niebieska kula ziemi,
A milczą, którzy biegli w artyleryjskim ogniu,
Przypadali do grudy, żeby uchroniła,
I ci, których wywożono z domu o świcie,
I ci, którzy wypełzli spod stosu krwawiących ciał.
A ja tutaj, instruktor od niepamiętania,
Pouczam, że ból mija (bo jest bólem innych),
Dalej ratując w myślach pannę Jadwigę,
Małą garbuskę, bibliotekarkę z zawodu,
Która zginęła w schronie tamtej kamienicy
Uważanej za pewną, a zapadła się,
I nikt nie mógł dokopać się przez płyty muru,
Choć wiele dni słyszano stukania i głosy.
Więc na wieki, na zawsze, zagubione imię,
Jej ostatnie godziny nieznane nikomu,
I czas ją unoszący, w warstwie Pliocenu.
Prawdziwy wróg człowieka jest uogólnienie.
Prawdziwy wróg człowieka, tak zwana Historia,
Zaleca się i straszy swoją liczbą mnogą.
Nie wierzcie jej. Podstępna i zdradliwa,
Nie jest anty-Naturą, jak Marks nam zalecał,
A jeżeli boginią, to ślepego Fatum.
Szkielecik panny Jadwigi, miejsce
Gdzie pulsowało serce. To jedno kładę
Przeciw konieczności, prawu, teorii.

WYKŁAD V

Jezus Chrystus zmartwychwstał. Ktokolwiek w to wierzy
Nie powinien zachowywać się tak jak my,
Którzy straciliśmy górę i dół, prawo i lewo, niebiosą, otchłanie,
A próbujemy jakoś przebrnąć, w autach, w łóżach,
Mężczyźni chwytając się kobiet, kobiety mężczyzn,
Zapadając się, podnosząc, stawiając kawę,
Smarując chleb, bo znów jeden dzień.

I jeden rok. Powraca czas prezentów.
Choinki rozjarzone, girlandy, muzyczność,
Dla nas, prezbiterian, katolików, luteranów.
Słodko w ławce kościelnej śpiewać z innymi,
Dziękować za to, że dalej razem jesteśmy,
Za dar wtórzenia Słowu, teraz, od wieków.

Radujemy się, że ominęło nas nieszczęście
Krajów o których czytamy, tam gdzie niewolni
Kłęczą przed państwem-idolem, z jego imieniem na ustach
Żyją i umierają, nie wiedząc, że są niewolni.
Jakkolwiek by to było, z nami zawsze Księga,
A w niej cudowne znaki, rady i nakazy
Niehigieniczne, prawda, i z rozsądkiem sprzeczne
Ale dosyć że są, na niemej ziemi.
To jakby ognisko grzało nas w jaskini
Kiedy na zewnątrz stoją zimne ognie gwiazd.

Milczą teologowie. A filozofowie
Nie odważą się nawet spytać: „Cóż jest prawda?”
I tak, po wielkich wojnach, w niezdecydowaniu,
Prawie że dobrej woli ale niezupełnie,
Pracujemy z nadzieją. A teraz niech każdy
Wyzna sobie. „Zmartwychwstał?” „Nie wiem czy zmartwychwstał”.

WYKŁAD VI

Bezgraniczna historia trwała w tym momencie
Kiedy przełamał chleb i wypił wino.
Rodzili się, pragnęli, umierali.
Takie tłumy, na Boga! Jak to jest możliwe
Że wszyscy chcieli żyć, a nie ma ich?

Nauczycielka prowadzi sznurek pięciolatków
Marmurowymi salami muzeum.
Sadowi grzecznych chłopców i dziewczynki
Na posadzce przed wielkim obrazem.
Objaśnia, mówi: szyszak, miecz, bogowie,
Góra, obłoki, orzeł, błyskawica.
Umie, a oni widzą pierwszy raz.
Jej gardło nietrwałe, jej organy żeńskie,
Kolorowa suknia, kremy i świedidla
Objęte przebaczeniem. Co nie jest objęte
Przebaczeniem? Brak wiedzy, beztroska niewinnych
Wołałyby o pomstę, wzywały wyroku
Gdybym to ja był sędzią. Nie będę, nie jestem.
W chwale odnawia się biedna chwila ziemi.
W równoczesności, teraz, tu, i co dzień
Chleb zamienia się w ciało, wino w krew.
A to, co niemożliwe i nie do zniesienia
Zostaje znów przyjęte, rozpoznane.
Pewnie, pocieszam was. Pocieszam także siebie.
Niewiele pocieszony. Drzewa-kandelabry
Niosą zielone świece. I magnolie kwitną.
To też jest rzeczywiste. Wielki zgiełk ustaje.
Pamięć zamyka swoje ciemne wody.
A tamci, jak za szkłem, patrzą, milczą.

STWARZANIE ŚWIATA

Niebianie w Biurze Projektów wybuchają śmiechem,
Bo jeden z nich narysował jeża,
Inny, żeby nie zostać w tyle, śpiewaczkę soprano —
Rzęsy, biust, loki, dużo loków.

Jest to wspaniała zabawa w oceanie musującej energii,
Wśród klasków, wyładowań zapowiadających elektryczność
Bulgocą kubły proto-farby, proto-pędzle pracują,
Potężny wir niemalże galaktyk za prawie-oknami
I nie doświadczająca chmur czysta jasność.

Dmą w konchy, koziołkują w niby-przestrzeni,
W swoim kraju archetypów, siódmym niebie.
Ziemia już prawie gotowa, jej rzeki błyszczą,
Bory ją porastają, i każde stworzenie z osobna
Czeka na swoją nazwę, i grom przechadza się
Stronami, a stada w trawach nie podnoszą głowy.

Wyistoczą się miasta, wąskie ulice,
Nocnik wylewany z okna, bielizna.
I zaraz autostrady na lotnisko,
Pomnik na skrzyżowaniu, park, stadion,
Dla tysięcy kiedy wstają i ryczą: gola!

Wynaleźć długość, szerokość, wysokość,
Dwa razy dwa i siłę ciężenia,
To i tak dosyć, a tu jeszcze: majtki
Z koronką, hipopotam, dziób tukana,
Okropnymi zębami jeżący się pas cnoty,
Ryba młot, nisko sklepiony hełm,
No i czas, to jest podział na będzie i było.

Gloria, gloria śpiewają istniejące rzeczy.
To słysząc, Mozart siada za piano forte

I komponuje muzykę, która już była gotowa
Wcześniej niż on sam urodził się w Salzburgu.

Gdyby tylko to wszystko trwało. Ale gdzież tam.
Mieni się, mija, krąży w bańce mydlanej
Razem z inwokacją Niebian do śmiertelnych:

„O lekkie plemię, jakże się nad tobą nie litować!
Twoje kolorowe szmaty, twoje tańce,
Niby to wyuzdane a tylko żalosne,
Lustra w których zostaje twarz z kolczykami,
Malowane powieki, rzęsy ułudne.
Tak nie mieć nic prócz miłosnego święta!
Jaka słaba obrona przeciw otchłani!”

A słońce wschodzi i słońce zachodzi.
A słońce wschodzi i słońce zachodzi.
Kiedy oni biegają, biegają.

Berkeley, 1988